



OPOWIEŚCI



WOJENNE



W okresie II wojny Mszczonów przeżywał ciężkie chwile. Były to tragiczne czasy. Na temat wojennej historii miasta i jego mieszkańców można by napisać nie jedną, ale nawet pokaźną serię książek. Ludzkie łyż mieszały się wtedy z krwią, która po mszczonowskim bruku płynęła strumieniami.

Zapoznałem się z licznymi dokumentami i publikacjami dotyczącymi tamtego okresu, jednak największe wrażenie zrobiły na mnie relacje wysłuchane, bezpośrednio od świadków wojennego koszmaru. Mszczonowianie, pamiętający tamte wydarzenia opowiadali mi o nich naprawdę długo. Słuchałem tych opowieści uważnie i aby nie zostały zapomniane spisywałem je. Niektóre zamieściłem w tym tekście. To wybrane wspomnienia, które jak sądzę zaintrygują Państwa i skłonią do głębszego zainteresowania się wcale nie tak odległą historią Mszczonowa.

ZEMSTA ZA STRATĘ DOWÓDCY I DOZNANĄ KŁĘSKĘ

W nocy z 10 na 11 września Mszczonów został odbity z rąk niemieckich przez 31 pułk Strzelców Kaniowskich, którym dowodził podpułkownik Wincenty Wnuk. Brawurowy atak Polaków całkowicie zaskoczył Niemców, którzy nie spodziewając się wojsk polskich na swoich tyłach, nie zachowali należytej czujności. Oddziały hitlerowskiego XVI Korpusu Pancernego poniosły wtedy ciężkie straty. Zniszczono kilkanaście czołgów, wozy pancerne i kolumnę ciężarówek. Wielu żołnierzy niemieckich trafiło do niewoli. Natomiast ich dowódca podobno w randze pułkownika zginął, gdy wraz ze swą żoną próbował wjechać do miasta rozpedzonym samochodem, aby organizować obronę. Znalaziono przy nim cenne mapy z naniesionymi kierunkami uderzeń. Pułkownika pochowano przy stawie zwanym przez mszczonowian Zdrojem (obecnie zbiornik p. poź). Zemsta hitlerowców za śmierć dowódcy i stracony sprzęt była straszna. Miasto zapłaciło za to krwawą cenę. Kierownik ówczesnej Publicznej Szkoły Powszechniej nr 1 Stanisław Kasperkiewicz, w szkolnej kronice skwitował ich barbarzyństwo następująco: „...Za mało napisał Blasco Ibanez w „Czterech jeźdźcach Apokalipsy”. „Kulturalni” Niemcy pokazali właściwe oblicze. Nie wiadomo, czy które miasto już w pierwszych dniach wojny złożyło taki haracz krwi i mienia, jak nieszczęśliwy Mszczonów”.

NIEMIECKI SĄD POŁOWY W MSZCZONOWSKIM KOŚCIELE

W 1939 roku, w czasie, gdy broniła się jeszcze oblężona Warszawa, pewien zakład fryzjerski w Milanówku odwiedzić miał niespodziewanie sam gen. Walther von Brauchitsch, głównodowodzący wojsk niemieckich. W trakcie golenia generał zapytał fryzjera co sądzi o niemieckich żołnierzach. Ośmielony golibroda odparł, że ma o nich złe zdanie bo niedawno dwóch z nich, służących w wojskach lotniczych, ukradło mu złoty sygnet. Generał rozwścieczony stwierdził, że Niemcy nie są rabusiami, a po chwili zażądał, aby fryzjer udowodnił, iż nie kłamie i wskazał tych co mieli ponoć dokonać rabunku. Polak w towarzystwie wysokiego rangą oficera, wyznaczonego przez

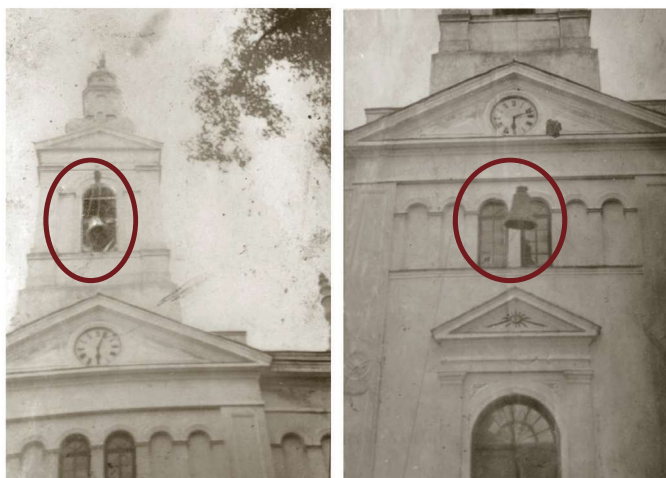
von Brauchitscha, objeżdżał poszczególne jednostki i gdy wydawało się już, że nie znajdzie winowajców nagle ujrzał jednego z nich idącego ulicą. Oficer rozkazał zatrzymać auto, którym się poruszali i natychmiast aresztował wskazanego. Błyskawiczne śledztwo doprowadziło do odnalezienia także drugiego złodzieja. Obaj zostali postawieni przed sądem polowym, który odbył się w... mszczonowskim kościele. Fryzjer był świadkiem w tym procesie. Jak wspominał po wojnie, zapamiętał długi stół, stojący na środku świątyni, przykryty zielonym suknem, za którym zasiedli umundurowani sędziowie. Obu Niemców, którzy przywłaszczyli sobie sygnet skazano wtedy na karę śmierci. Aż trudno w to uwierzyć, że ci sami hitlerowcy w centrum spalonego miasta, w którym zamordowali tak wielu niewinnych mieszkańców, skazali na śmierć dwóch swoich żołnierzy za kradzież jednego świecidełka. No cóż, najwyraźniej były to czasy nie tylko okrucieństwa i zdiczenia obyczajów, ale także niesamowitych absurdów.

ZABITY DZWON

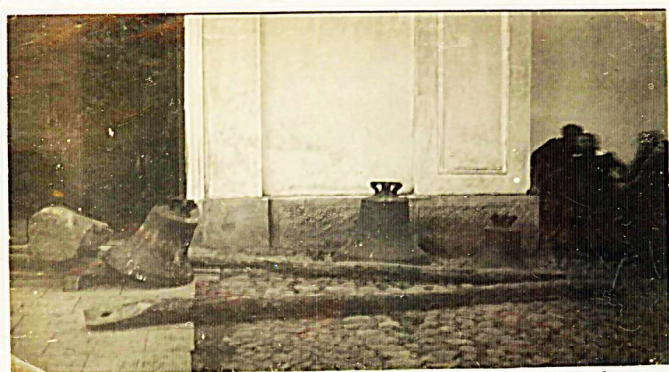
Dzwon „Jan”, który przed wojną wisiał w mszczonowskiej wieży kościelnej został ufundowany przez parafian w 1920 r.



Był on przez mieszkańców szczególnie ceniony. Jego dźwięk rozlegał się nad miastem w chwilach radosnych i smutnych. Mszczonowianie byli z niego dumni i podziwiali jego charakterystyczne brzmienie. To on bił na trwogę, gdy rozpoczęła się II wojna światowa. Później okupanci zakazali jego używania. Wyjątkami miały być chwile świętowania kolejnych zwycięstw faszystowskiej armii. Na szczęście nigdy nie został użyty do tak niecnego celu. Szczególnie wtedy, gdy okupanci radowali się militarnymi sukcesami – jego wymowne milczenie było jak najbardziej pożądane. Kiedy sytuacja Niemców na frontach pogorszyła się i III Rzesza poczęła odczuwać brak surowców dla przemysłu wojennego rozesłano rozkazy, aby na terenach okupowanych rekwirować dzwony i oddawać je do przetopu. Mszczonowianie nie chcieli podjąć się zdjęcia z dzwonnicy swego towarzysza niedoli. Na nic zdawały się groźby okupacyjnych władz miasta. Zawiodły też próby późniejszego kuszania wysoką zapłatą. Nikt nie chciał przyłożyć ręki do tak



haniebnego czynu. I gdy wydawało się, że mszczonowianie jak jeden mąż zachowają się godnie znalazł się jednak taki, który połasczył się na niemieckie „srebrniki”. Był to sklepikarz, którego nazwiska lepiej nie pamiętać... Chwile zdejmowania przez niego „Jana”, a także pozostałych mszczonowskich dzwonów uwiecznił na zdjęciach, wykonanych z ukrycia, harcerz Józef Bekasiak. Po tym wydarzeniu zachłannego sklepikarza przestano szanować w mieście. Ostentacyjnie okazywano mu niechęć i przezywano „dzwonem”. Po zakończeniu wojny wprowadził się on do Warszawy i tam ponoć umarł ze zgrzyoty. Natomiast dzwon „Jan” został po wojnie odnaleziony przez mszczonowian, wracających z „przymusowych robót”. Niestety już nigdy jego piękny dźwięk nie rozległ się ponad miastem. Był pęknięty. Boleśnie zraniony – podobnie jak jego miasto. Mieszkańcy mimo to nie chcieli się z nim rozstać. Postanowili odnieść go na cmentarz i tam powiesić na małej metalowej dzwonnicy, aby dla przyszłych pokoleń był symbolem wojennego cierpienia Mszczonowa.



INNA OKRZESZA

Okrzesza, która przepływa przez Mszczonów jest niewielkim strumieniem. Kiedyś jednak jej koryto nie było tak wąskie i gdzieś tam rzeczka tworzyła nawet spore rozlewiska. Dlaczego Okrzesza tak się zmieniła pamięta coraz mniej mszczonowian. A to bardzo źle, gdyż powód tej odmiany jest tragiczny i związany z barbarzyństwem, jakiego mszczonowia-

nie doznali podczas wojny ze strony niemieckich najeźdźców. Najokrutniej przez faszystów zostali potraktowani mszczonowscy Żydzi. Tej nacji hitlerowcy nienawidzili szczególnie. W swych planach zakładali jej całkowitą zagładę. Żydzi mieli zostać wymordowani, ich święte księgi spalone, a domy i synagogi wyburzone. Nawet żydowskie cmentarze miały zniknąć z powierzchni ziemi. W Mszczonowie realizacja tej obłąkańczej koncepcji odbywała się bardzo skutecznie. Miejscowi wyznawcy judaizmu byli bezkarnie mordowani już od pierwszych dni wojny. Kamienice żydowskie zostały spalone, a następnie zburzone. Synagogę także podpalamo. Śmierć w trawiących ją płomieniach znalazło 37 osób. Pozostali przy życiu Żydzi w 1941 roku zostali wywiezieni do warszawskiego getta. Dopełnieniem tragedii mszczonowskich Żydów było zbezczeszczenie ich cmentarza (kirkutu). Płyty żydowskich nagrobków (maceb) zostały porozbijane, a następnie wykorzystane do umacniania brzegów Okrzeszy. To właśnie dlatego dziś rzeczka tak wartko płynie przez miasto, a jej wody nie tworzą już rozlewisk i błotnistych terenów. Niemcy zawsze cenili „porządek”...

WYJAŚNIONE TAJEMNICE

Z mszczonowskim wrześniem 1939 wiąże się kilka niewyjaśnionych spraw, o które wciąż spierają się miejscowi pasjonaci historii. Między innymi przez lata dyskutowano o tym, kiedy właściwie Niemcy wkroczyli do Mszczonowa. Podawane były różne daty i godziny. Stanisław Burchardt w Wiadomościach Mszczonowskich (WM) twierdził, że był to 7 września. Podobnego zdania był Maciej Twardowski, autor cyklu artykułów o Mszczonowie, opublikowanych w latach 70-tych w Życiu Żyrardowa. W starej kronice mszczonowskiej Szkoły Powszechnej nr 1 – jej ówczesny kierownik Stanisław Kasperkiewicz w napisanym odręcznie zdaniu, dotyczącym tego zdarzenia zostawił natomiast... puste miejsce, tak jakby właściwą datę planował wpisać dopiero po odświeżeniu wspomnień! Doktor Jan Józefcki, autor monografii Mszczonowa, w swoim dziele przytoczył różne daty, jakie odnalazł w dostępnych mu źródłach (zarówno 7 jak i 8 września), ale po odnotowaniu pojawiających się rozbieżności nie przesądził jednoznacznie, która z nich jego zdaniem jest prawdziwa. Zawsze byłem ciekawy, kto ma rację, kto podaje prawidłową datę. W ostatnim czasie zetknąłem się jeszcze z opisem mszczonowskich wydarzeń II wojny światowej, opracowanym w latach 60-tych przez członków licealnego Koła Przyjaciół Książki. Według nich niemieckie czołgi wjechały do miasta 8 września, Wymieniona jest nawet dokładna godzina ich pojawienia się – 7.30! Opracowanie, w ogóle jest zaskakująco szczegółowe. Zawiera tak wiele danych, że wydaje się aż nieprawdopodobne, aby uczniowie dysponowali tak rozległą wiedzą. Prawdopodobnie korzystali z wcześniejszych ustaleń dyrektora LO Lucjana Chojnowskiego, który jednakże dopiero przed obchodami 600-lecia Mszczonowa (1977 r.) opublikował zbiór opracowań, dotyczących wojennych losów miasta. Dyrektor Chojnowski podał jednak w swojej pracy godzinę 9.30 (8 września). Skąd ta rozbieżność? W każdym razie jakież było moje zdziwienie, gdy się okazało, że zarówno dy-

rektor jak i jego licealiści byli równie blisko prawdy. Niemieckie czołgi pojawiły się na rogatkach miasta 8 września o godzinie 8.00. A skąd to wiem? A od samych nieproszonych gości, którzy dokładnie dokumentowali działania wojenne, prowadzone na terenie Polski w 1939 roku. Dane z analizowanych Dzienników Wojennych, prowadzonych przez oddziały Wehrmachtu, dostarczył mi Janusz Matusiak, autor licznych publikacji, dotyczących historii Sieradza i działań bojowych 31 pułku Strzelców Kaniowskich. Dzięki wiedzy zdobytej przez zaprzyjaźnionego publicystę udało się także rozwiązać tajemnicę pierwszego nalotu na Mszczonów, który miał miejsce 6 września. Niemieckie bomby spadły wtedy m. in. na sztab Armii Łódź, który kwatrował w mieście. Generał Rómmel został ranny odłamkiem w rękę i natychmiast nakazał zmianę miejsca stacjonowania na pobliskie Grzegorzewice. Stanisław Burchardt napisał w swoich wspomnieniach (publikowanych w „WM”), że Niemcy musieli mieć w tym czasie w Mszczonowie szpiega z radiostacją, który naprowadził samoloty. Jak wynika z niemieckich źródeł bombardowanie to było jednak czysto przypadkowe. Bombowce IV Luftfloty, które wystartowały spod Krakowa miały zrzucić bomby na bliżej nieokreśloną dużą kolumnę wojskową, poruszającą się w kierunku Grójca. Gdy jej nie znalazły otrzymały rozkaz zbombardowania najbliższego celu zastępczego, jakim okazał się – na nasze nieszczęście – Mszczonów. Gdyby faszyci wiedzieli o sztabie armii, który był w tym czasie w mieście to na pewno Mszczonów, nie byłby żadnym celem zastępczym, ale celem głównym ich ataku.



JAK WITANO ROSJAN

Był styczeń 1945 roku, radzieckie czołgi wjechały do miasta i niemalże bez oporu odbiły je z rąk niemieckich. Hitlerowcy uciekali w popłochu. Te chwile jeszcze do niedawna przedstawiano jako radosny moment wyzwolenia, podczas którego mszczonowianie owacyjnie witali czerwonarmistów. Na temat walk, do jakich doszło wtedy w mieście także pisano wiele. Szczególną uwagę poświęcono epizodowi unieszkodliwienia hitlerowskiego punktu obserwacyjnego, jaki znajdował się na kościelnej wieży. Czy tak było w rzeczywistości? Jak wyglądały pierwsze chwile tego „wyzwolenia”? Dziś możemy o tym mówić otwarcie. Nie było żadnego powitania. Sowietci wjechali do miasta skoro świt. Było przeraźliwie zimno. Walki w Mszczonowie rozegrały się błyskawicznie, a czołgi czerwonarmistów pędząc za uciekającym wrogiem od razu skierowały się w kierunku Żyrardowa. Gdyby jednak nawet był czas na fetowanie zwycięzców (których powiedzmy szczerze, nadejścia naprawdę oczekiwano) to i tak by do niej nie doszło. Mieszkańcy nie wiedzieli, co czeka ich ze strony „wyzwolicieli” i wcale tłumnie nie wylegliby na ulice. Rozsądek i obawa o swoje życie nakazywały przezorne ukrycie się w domach. W tych czasach Rosjan tylko niektórzy traktowali jak sojuszników. Głównie postrzegano ich przez pryzmat wojny bolszewickiej i nie tak wtedy wcale odległych zaborów. Dla świadomych patriotów różnica pomiędzy żołnierzem faszystą, a żołnierzem komunistą przypominała przysłowiowy wybór pomiędzy dżumą, a cholera. Liczono jednak na to, że być może „cholera” okaże się nieco mniej śmiertelna i dlatego oczekiwano przyjscia Sowietów. Bano się jednak o swoje życie i dobytek. Kobiety z wiadomych względów osób pamiętających wyzwolicieli ze wschodu, nawet tym najmłodszym chętnie okazywali oni swoją jurność.

Wojna niosła ze sobą zdziczenie obyczajów. Ci Rosjanie, którzy wjechali do Mszczonowa rano 16 stycznia 1945 roku nie mieli czasu na bliższe poznanie się z miejscową ludnością. Tak jak już wspomniałem pędzili za Niemcami, którzy wycofali się w kierunku Żyrardowa. Bezpośredni kontakt „nawiązali” natomiast z miejscową świątynią, którą pod pretekstem zlikwidowania punktu oporu wroga pozbawili wieży. Wielu z mieszkańców miasta zaprzecza, jakoby na wieży czaili się wtedy Niemcy. Być może więc to wcale nie faszyci, ale krzyż górujący nad Mszczonowem był powodem celnego strzału sowieckiego czołgisty. Znane są przypadki, gdy Rosjanie urządzali sobie pokazy strzeleckie w zajmowanych miejscowościach. Głośna jest historia Elbląga, który w taki właśnie sposób stracił część swej przepięknej starówki. Wszystko więc wskazuje na to, że strącenie mszczonowskiej, kościelnej wieży było niczym innym jak tylko przejawem szczególnego stosunku naszych „wyzwolicieli” do religii i miejsc jej kultu. Naprawdę wybrali oni iście subtelny sposób na oznajmienie mszczonowianom nowiny o nastaniu nowej – czerwonej ery.

W późniejszych dniach stycznia Sowietci „zaprzyjaźnili się” z samochodem mszczonowskiej straży ogniowej oraz kilkoma wozami konnymi, jakie jeszcze pozostały w rękach mszczonowian. O stracie samochodu i zarekwirowaniu wozów informacje przetrwały w zasobach Archiwum Państwowego w Grodzisku Mazowieckim



RÓŻNIE BYWAŁO – ŚMIESZNIIE I STRASZNIIE

Ze styczniem 1945 roku wiążą się jeszcze dwie inne mszczonowskie opowieści jedna radosna, a nawet nieco śmieszna, zaś druga straszna – wprost przerażająca.

16 stycznia tuż przed wjechaniem do miasta radzieckich czołgów, w jednym z domów stojących przy ulicy Grójeckiej przebywała ciężarna kobieta. Była bliska rozwiązania. Nagle zaczęła odczuwać ból. W tym samym czasie w brawurowym ataku czerwoarmiści pojawili się na przedmieściach. Przy domu rodzącej rozerwał się pocisk (prawdopodobnie z czołgowej armaty) i w tej samej chwili strwożona ciężarna powiła syna. To był istic „bombowy” poród. Jedna z niewielu radośnych chwil w tej wojnie.

W tej samej części miasta około trzech dni później doszło do makabrycznego zdarzenia. Ze strony Grójca wjechał do miasta zbłąkany niemiecki czołg. Ścigali go Rosjanie. Przy stawie zwanym Zdrojem faszyci skręcili z drogi i skierowali się w kierunku Okrzeszy. Ich maszyna została jednak dogoniona. „Sołdaci” szybko uporali się z wrogiem. Niemców po wyciągnięciu z czołgu natychmiast rozstrzelano. Następnie Sowieci wpadli na oryginalny pomysł jak pozbyć się ciał hitlerowców tak, aby nie trzeba było kopać mogił w zmarzniętej, styczniowej ziemi. Poradzono sobie z „problemem” przy pomocy... mszczonowskiego bruku i czołgowych, stalowych gąsienic.

SZARŻA POD OSUCHOWEM

Jeszcze tak niedawno o bitwie mszczonowskiej 1939 pisano, jako o zapomnianym i niedocenianym zwycięstwie. Dziś dzięki staraniom miejscowych pasjonatów historii, a przede wszystkim dzięki wizycie Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego (odbytej 11. 09. 2007 r.), o mszczonowskiej wygranej 31 pułku Strzelców Kaniowskich nad oddziałami XVI Korpusu Pancernego Wehrmachtu – wie już cała Polska. Mszczonów doczekał się właściwego uhonorowania, a co z Osuchowem? Bitwa wrześniowa, jaka rozegrała się w osuchowskim lesie nadal dla wielu pozostaje zupełnie nieznaną. Nieliczni z mieszkańców naszej gminy wiedzą, że 11 września Polacy zostali tam okrążeni przez Niemców i złożyli broń. Kto jednak zdaje sobie sprawę,

że krwawa walka trwała przeszło siedem godzin i że Niemcy dysponowali miażdżącą przewagą, a nasi pomimo tego bronili się aż do wyczerpania amunicji? Niewielu. A kto wie, że bitwa osuchowska była równie szczególna jak zwycięstwo odniesione tego samego dnia, w oddalonym zaledwie o 10 kilometrów Mszczonowie? Spytacie, Drodzy Czytelnicy – „dlaczego, przecież zakończyła się kapitulacją?” Owszem, ale nie wszystkie oddziały polskie walczące w Osuchowie złożyły broń. Gdy dowodzący częścią Kresowej Brygady Kawalerii, dowódca 6 pułku Strzelców Konnych – ppłk Stefan Mossor podjął decyzję o zaprzestaniu walki, będący pod jego rozkazami dowódca 1-wszego szwadronu 20 pułku ułanów, rotmistrz Jan Burtowy odmówił poddania się i z szablą w dłoni poprowadził swoich żołnierzy do ataku na pozycje niemieckie. Szarż ułańskich we wrześniu 1939 roku było zaledwie kilkanaście. Wiele z nich kończyło się zmasakrowaniem naszych kawalerzystów. Natomiast szarża osuchowska zakończyła się sukcesem! Szwadron rotmistrza Burtowego przebił się przez pierścień wroga, pozostawiając za sobą pobitych i kompletnie zaskoczonych hitlerowców. Jak wyglądał atak sześćdziesięciu ułanów z furią tratujących niemiecką piechotę, możemy sobie tylko wyobrazić. Być może to wydarzenie z naszej historii doczeka się jeszcze uwiecznienia na płótnie. Przecież temat jest istic „kossakowski”. Póki co trzeba o nim jak najwięcej pisać i zbierać wszelkie możliwe informacje. Wszędzie, gdzie to tylko możliwe prostować również należy relacje o bitwie osuchowskiej, gdyż w wielu z nich zamiast nazwy Osuchów pojawia się błędnie „Osuchowo”. O swoją chlubną historię warto się „bić”.

PRZECHODNIE LOTNISKO

W 1944 roku przy osuchowskim lesie faszyci urządzili lotnisko polowe. Jego pasy startowe były skierowane na północ, a urządzono je przy wschodniej ścianie lasu, w miejscu gdzie kończy się on pomiędzy Osuchowem, a Strzyżami. Z tego lotniska startowały samoloty, kierujące się na nadchodzące od wschodu oddziały Armii Czerwonej. Samoloty niemieckie w Osuchowie nie miały ponoć żadnych hangarów. Parkowały pomiędzy drzewami, które gwarantowały im naturalne maskowanie. W 1945 roku po opanowaniu okolic Osuchowa przez



Sowietów, na lotnisku zaczęły lądować samoloty z czerwonymi gwiazdami. Nowi „właściciele” osuchowskich pasów startowych wykorzystywali je równie intensywnie. Jednak tym razem loty bojowe odbywały się – co zrozumiałe – na zachód, gdzie dobijana była faszystowska armia.

JAK ORŁY WRONĘ STRACILI

Z Osuchowem i jego okolicami wiąże się też lotnicza historia z września 1939 roku. 6 września pomiędzy – Osuchowem, Piekarami i Zimnicami polskie myśliwce zaatakowały niemiecki bombowiec – leciał on z lotniska Bad Langenau (Długopole Zdrój koło Wrocławia), aby bombardować Warszawę. Po krótkiej, acz ząartej walce z polskimi orłami hitlerowska maszyna spadła na pole tuż przy skrzyżowaniu dróg – Piekary, Kowiesowo, Podlindowo. Do rozbitka natychmiast przybiegli mieszkańcy okolicznych zabudowań. Ponoć jednego z niemieckich lotników dobito łopata. Drugiego rannego włożono na wóz konny i zawieziono do Mszczonowa. W mieście, które przeżyło już bombardowania przyjęło wroga szczególnie chłodno. Jego przejazd przez miasto wzbudził olbrzymie emocje. Zamknięto go w areszcie, jaki znajdował się w piwnicy ratusza.

Teraz po blisko 70 latach udało się ustalić wiele szczegółów dotyczących tamtego wydarzenia. Zestrzelonym samolotem był Heinkel 111P o numerze 5J DL z załogą w składzie: obserwator Otto Freudenberg, pilot Werner Weber, mechanik pokładowy Kurt Damm i radiooperator Hans Patzold. Samolot został zestrzelony przez klucz ze 114 eskadry myśliwskiej z Brygady Pościgowej. Klucz ten tworzyli piloci: kpt. Frey, ppor. Szu-



mowski i pchor. Wróblewski. Jak wynika z niemieckich źródeł z załogi Heinkla uratował się tylko radiooperator, ale i ten po dostaniu się do niewoli – jak podają Niemcy – został zamordowany przez sierżanta WP (Wojska Polskiego). Faszyci najwyraźniej nie dowiedzieli się o tym, że zestrzelenie przeżył jeszcze jeden z lotników, którego dobił – tak jak wspominałem wcześniej – nasz cywil. Cywil ten ponoć ukrywał się w trakcie wojny, gdyż obawiał się zemsty ze strony okupantów.

Z olbrzymią rezerwą należy podchodzić do niemieckiej informacji dotyczącej „zamordowania przez sierżanta WP”, wziętego do niewoli radiooperatora Hansa Patzold-a. Wszystko wskazuje na to, że był to właśnie ten pilot, którego 6 września przywieziono do miasta furmanką i zamknięto w ratuszu. W protokole niemieckim, w jakim zawarto informacje o jego „zamordowaniu” nie ma wymienionego nazwiska polskiego sierżanta, który ponoć pozbawił go życia.

Informacje na temat zestrzelenia bombowca i losu jego załogi można znaleźć w następujących źródłach:

- Adam Kurowski Lotnictwo polskie w 1939 roku Warszawa 1962- Jerzy Pawlak Polskie eskadry w wojnie obronnej Warszawa 1991
- Dziennik działań bojowych Luftwaffe Archiwum Narodowe USA
- Bundes Militararchiv RL10/418 karta 6 - 8

MEDAL NADESLANY POCZTA

Kolejna wojenna historia, związana z lasem w Osuchowie dotyczy ukrywających się w nim Sowietów. Na przełomie 1943-44 roku korzystali oni ze schronienia w prowizorycznej ziemiance, której ślady zachowały się do dnia dzisiejszego. Czerwonoarmiści przeżyli dzięki pomocy ówczesnego leśniczego Morawskiego i jego dzieci (córkę i syna). Morawscy przez blisko rok dokarmiali i w różny inny sposób dopomagali ukrywającym się. Gdy front zaczął się zbliżać Sowietci opuścili Osuchów i zaryzykowali przedarcie się do swoich. Najwyraźniej im się udało, gdyż po zakończeniu wojny do pełniącego wciąż swoje obowiązki leśniczego Morawskiego, przyszedł list z Moskwy, a w nim... medal za wsparcie „sojusznicze”.

OSUCHOWSKI TRUNEK

Ostatnia opowieść nie będzie zbyt długa z dwóch powodów. Po pierwsze – dotyczy sprawy tak naprawdę mało znaczącej, a po drugie – komentować jej z pewnych względów nawet nie wypada. Opowieść ta również jest związana z podmszczonowskim Osuchowem, a konkretnie ze stojącą w tej miejscowości gorzelnią. Obiekt ten ma przeszłość sto lat i znajduje się w nim wiele archaicznych urządzeń, służących do wytwarzania przedniej marki spirytusu. Był on naprawdę wyśmienitej jakości. Jeszcze do niedawna wódka z niego wytwarzana robiła furorę w Stanach Zjednoczonych. Jej nazwy oczywiście nie wspomnę, aby nie być posądzonym o krypto reklamę. Jeśli któ-



1500-litrowa kadź ze spirytusem, przestrzelona w 1945r. przez rosyjskich żołnierzy, którzy zapragnęli skosztować trunku.

rys z Czytelników już zaczyna mi zarzucać, że odbiegam od tematu, śpieszę wyjaśnić, że nic bardziej mylnego. Spirytus osuchowski był bowiem tak samo dobry także w 1945 roku, a że Rosjanie wcale nie gorsi od Amerykanów, więc żołdaci tuż po wkroczeniu do gorzelnii zechcieli go natychmiast zakosztować. Obiekt ich pożądanego znajdował się w kadzi o pojemności 1500 litrów. Czerwoarmistom widać bardzo się spieszyło do degustacji bo zamiast odkręcić stosowny zawór wypalili do zbiornika dwukrotnie z pepeszy. Czy udało się im wypić całe 1500 litrów jednym duszkiem? Tego nie wiadomo. O tym, że historia nie została wyssana z palca świadczą widoczne do dziś ślady po sowieckich kulach. Te załatane otworki w gigantycznej kadzi były do chwili zakończenia działalności przez osuchowską gorzelnię traktowane jako najlepsza reklama jej produktu. Między innymi bardzo spodobały się amerykańskiej, biznesowej delegacji, która w latach 90-tych wizytowała gorzelnię.

ZAGADKA ŚMIERCI MAJORA

W centralnej części osuchowskiego cmentarza znajduje się grób mjr. Cezarego Niewęglowskiego. Umieszczono na nim datę zgonu – 7 września 1939 roku. Wiele na to wskazuje, że może być ona błędna.

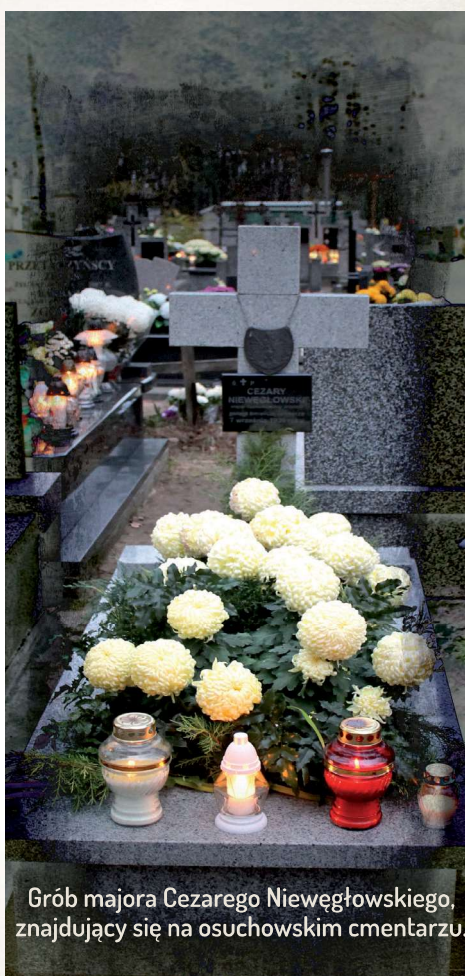
Major Niewęglowski w 1939 roku służył jako oficer łącznikowy w Oddziale II Sztabu GO Piotrków. W zamieszczonej w książce Mieczysława Bielskiego „Grupa Operacyjna Piotrków 1939” notcie biograficznej majora Cezarego Niewęglowskiego jest napisane, że popełnił samobójstwo w Osuchowie w dniu 7 września. Jednak jak wynika z relacji byłych mieszkańców wsi Lindów (położonej k/Osuchowa) majora, z wieloma ranami, znaleziono martwego w lesie dopiero po bitwie osuchowskiej (czyli po

11 września). Co więcej był on przed bitwą widziany wraz z ułanami z Kresowej Brygady Kawalerii, przechodzącymi przez Lindów i nawet w jednym z gospodarstw miał otrzymać od jego mieszkańców wodę (gospodarstwo rodziny Olborskich). W księdze zgonów (z 1939 roku) Parafii w Osuchowie nie ma informacji na temat daty pochówku majora Niewęglowskiego. Nie jest więc wykluczone, że informacja o samobójczej śmierci to jedynie pomyłka. Jak twierdzi wystuchana przeze mnie była mieszkanka Lindowa nieznanego oficera polski faktycznie odebrał sobie życie, ale miało to miejsce w niedalekich Ulaskach i oficerem tym – według niej – na pewno nie był major Cezary Niewęglowski.

O śmierci majora w walce może też świadczyć miejsce jego pochówku. Grób znajduje się w centralnej części cmentarza, przy skrzyżowaniu dwóch głównych alejek. Kiedyś Kościół inaczej niż obecnie podchodził do śmierci samobójczej i tych co sami odbierali sobie życie grzebano w specjalnych cmentarnych rewirach usytuowanych z reguły na obrzeżach nekropolii.

Do tych przemyśleń nie pasuje jednak zupełnie list, jaki przed śmiercią napisał major Niewęglowski. Faktycznie wyglądał na pożegnalny, co wskazywałoby na możliwość samobójstwa. Jak zginął oficer pochowany na osuchowskiej nekropolii? Kto i kiedy jednoznacznie wyjaśni tę sprawę? Poniżej przedstawiamy treść wspomnianego listu, zamieszczonego w publikacji P. Staweckiego, „Oficerowie dyplomowani wojska Drugiej Rzeczypospolitej”, Wrocław, 1977 r.

Oprac. Piotr Dymek



Grób majora Cezarego Niewęglowskiego, znajdujący się na osuchowskim cmentarzu.

Fragment listu pożegnalnego oficera II Oddziału (wywiadowczego) sztabu Grupy Operacyjnej „Piotrków”, mjr. dypl. Cezarego Niewęglowskiego, który 7.09. popełnił samobójstwo:

Byłem żołnierzem z zamiłowaniem, nie dla kawałka chleba, byłem patriotą, może gwałtownym w swej ambicji, ale szczerym. Wierzyłem w swoje wojsko, ale głęboko się zawiodłem. Przegranie wojny w pięć dni przez państwo o 34 mil. ludzi – to klęska, nie wojenna, lecz moralna. [...] Wykazala naszą nieudolność organizacyjną, brak przewidywania, a przy tym pyszałkowatość i bezdrną pewność siebie [...]. Przez te kilka dni byłem na froncie świadkiem bohaterstwa i waleczności naszego żołnierza i nieudolności dowódców. Czy znova mamy prosić francuskich dowódców batalionów, żeby nas uczyli d o w o d z e n i a ? ...

(Cyt. P. Stawekki, *Oficerowie dyplomowani wojska Drugiej Rzeczypospolitej*, Wrocław 1977, s. 192)